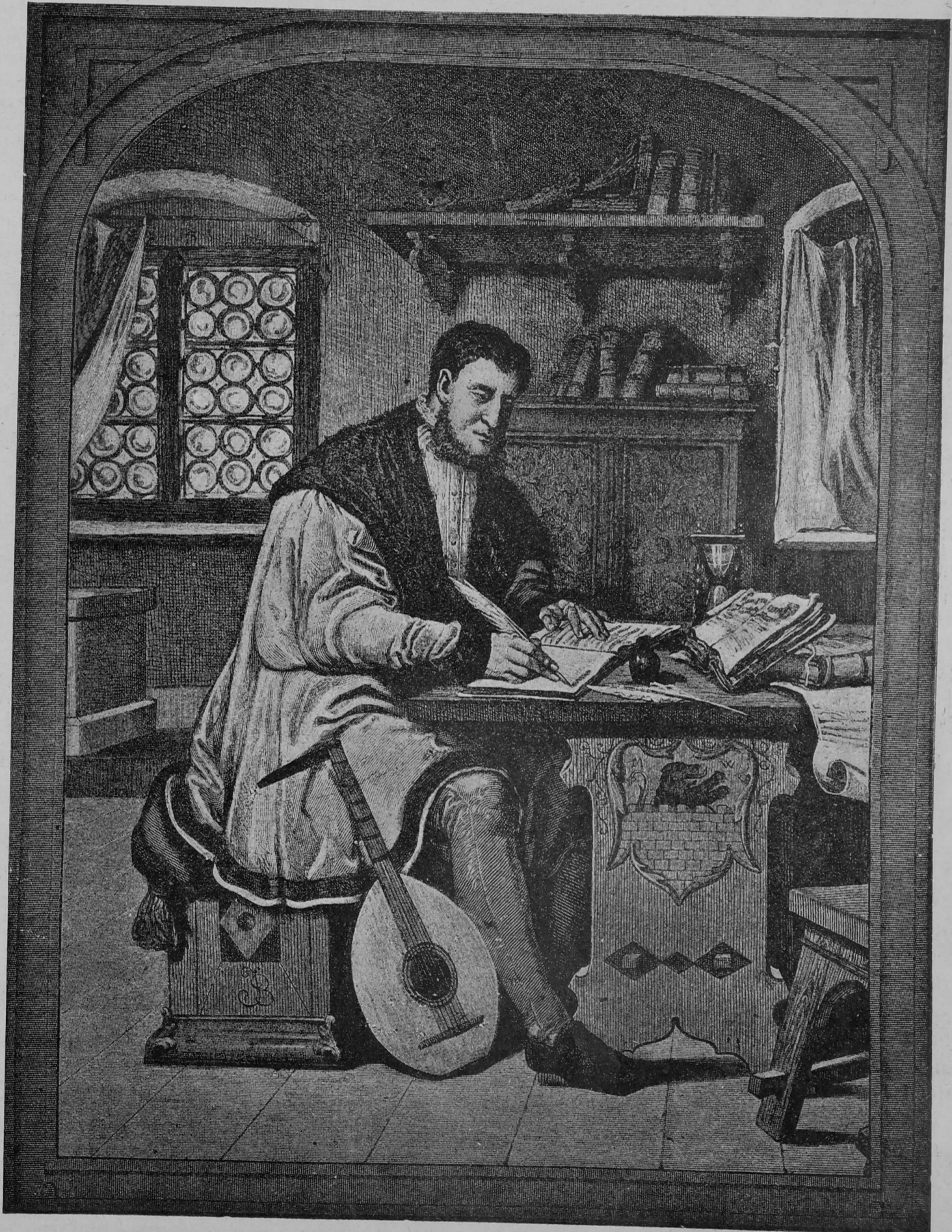


# ZIARNO



MARCIN BIELSKI.

# MARCIN BIELSKI.

**R**eformacja w Polsce i walka o prawdziwe słowo Boże na chwilę tylko przygłuszyła tok myśli humanistycznej i politycznej. Ogół wykształcony, porwany prądem Odrodzenia, nie mógł w sporach protestantów i kalwinów z katolikami zatracić silnie zaszczone już poczucie sztuki i piękna, nie mógł powstrzymać silnie bijących fal wiedzy i umiejętności ogólnoludzkiej. Nieprzyjaźń i polemika dwu obozów przyspieszyła raczej ich rozwój prawidłowy w wieku XVI.

Humanści gniewali się naprawdę na ten gwałtowny zwrot ku ideałom średniowiecznym i sporom teologicznym, zagrzebanym, jak mniemali, na zawsze. Erazm Roterдамczyk i Jan Łaski ubolewali nad sekcjarstwem polskim, tak niezgodnym z wykwiutnym ich humanizmem. Zdawało im się, że powołane na nowo do życia bogi greckie i rymy łacińskie w sporach tych zatracą czystość swych linii i wdzięczny wyraz swego klasycznego piękna. Lecz życie okazało się silniejszym od głów uczonych. Wkrótce i humanści zaczęli pisywać rzymskie elegje i greckie ody ku obronie wiary. Forma klasyczna poszła na usługi praktycznych celów.

Równocześnie wrócono do przerwanych studjów, a przy nich język narodowy, konieczny w walce wyznaniowej, wywalczał sobie coraz większe prawo w piśmiennictwie. Po tej drodze zaś kroczyli, służąc wzorem twórcom polskiego słowa i polskiej myśli, ludzie, którzy nie znali nawet szkoły humanistycznej. Przywodził im Marcin Wolski, albo, jak się od drugiej swej posiadłości ziemskiej nazwał, Bielski.

Staremu Wolskiemu słusznie policzono później za zasługę, że:

Jeszcze od swoich młodych lat  
pisał wszem polskie rzeczy rad,  
on się na to pierwej obrał, (pierwszy zdobył)  
drogę impressorom (drukarzom) podał  
pisma polskie imprymować (drukować);“

rzeczywiście przyłączył się był już od roku 1535, jedyny nieomal szlachcic do mieszczan, tworzących literaturę narodową. Wydaniem „Kroniki Świata” po polsku, trzykrotnie w krótkim przeciągu czasu wybijanej, zarobił na imię polskiego dziejopisa. Kronika ta opowiadała o państwach i monarchach powszechnych, o nowym świecie, odkrytym przez Krzysztofa Kolumba, o dziejach krajów postronnych, czeskich i węgierskich, mniej obszernie zaś o Polsce, od czasów pogańskich aż do opisu pogrzebu króla Zygmunta Starego. Kronika ta, niby znak poważny, niby zapowiedź ważnej epoki, stała w r. 1551 u samych wrót drugiej połowy wieku.

Bielski nie był historykiem z zawodu. Jest to pisarz średniowieczny, moralista, satyryk i nauczyciel społeczeństwa. Oprócz swej wielkopomnej kroniki

tylko na tem polu pracował, lecz zawsze pisał po polsku, czem na tem większą zasłużył u potomnych wdzięczność.

Zapłacono mu za pracę jego niepamięcią, wysuwając na pierwszy plan Mikołaja Reja, chociaż go w tworzeniu literatury ojczystej znacznie wyprzedził. Słusznie nazwano go „prawdżicem,” bo pierwszy on, niezależny i szczery, pokazał w swych wierszach, satyrach i alegorjach, jakimi drogami mogła kroczyć samorodna i domorosła poezja polska bez podpór i ozdób humanistycznych, fałszujących nieraz styl prawdziwie swojski.

Marcin Bielski wydał w r. 1557 pierwszą oryginalną polską sztukę moralną: „komedię Justyna i Konstancyjej, brata z siostrą, jaką im ociec naukę po sobie zostawiał.” Są to niebardzo dramatyczne zapasy występów i dobrych instynktów o posiadanie obojga młodych, zakończone tryumfem cnoty. Wiersz wstępny, oprowadzający książkę po ziemi naszej, jest jednym z najpiękniejszych okazów całej poezji wieku XVI; nigdy nie napisał Rej czegoś podobnie wdzięcznego i miłego. Stosunkami miejskimi zajmują się jego satyry pod tytułem „Rozmowa dwu baranów nowych proroków o jednej głowie”, oczywiście zdobiących naróżną kamienicę krakowską pod Baranami. Bielski bowiem, choć na wsi mieszkał, myślał zawsze do stolicy kraju i miast wogóle wybiegał i szlachtę do bardziej kulturalnego i gładszego sposobu życia mądrze i gorliwie, aczkolwiek na próżno, nakłaniał. Niemniej ciekawy jest jego Sjem“ (sejm) niewieści,“ gdzie szydząc z niezaradności i opieszałości męskiej daje rady i wskazówki dla dobra ojczyzny. Te utwory Bielskiego wykazują dużo zmysłu spostrzegawczego, dowcipu domorosłego, pojęć zdrowych, wysłowienia jędrnego.

Marcin Bielski ma niespożyty zasługę wobec budzącej się literatury polskiej. On pierwszy z wewnętrznego popędu daje naczelne miejsce słowu rodzimemu, on w kronice swej rozpoczyna szereg historyków polskich, on toruje drogę językowi ojczystemu do wyżyn, na które zaprowadził go Rej i Kochanowski.

Jego syn Joachim doprowadził dzieło ojcowskie aż do panowania Zygmunta III, lecz pozatem nie poszedł drogami rodzica, zawrócił raczej na pole humanizmu. Następcą Marcina Wolskiego jest w całej pełni tego słowa Mikołaj Rej, który zarówno jak swój poprzednik zarzuca polemikę wyznaniową, a zwraca się ku literackiej niwie obyczajowej i satyrycznej.

Marcin Bielski urodził się w r. 1495 w wsi Biała w ziemi Sieradzkiej, umarł tamże w r. 1575, pochowany w kościele Pajacznie. Za młodu służył wojskowo, później bawił na dworze Piotra Kumity, wreszcie osiadł na wsi, gdzie wśród licznych dzieł napisał: „Kronikę

wszystkiego świata na sześć wieków rozdzieloną i na cztery monarchje z rozmaitych kronik wydaną“, drukowaną w Krakowie w r. 1564. Głównie zajmował się Bielski w dziele swem historją powszechną, polską opracował zaś tylko w pojedynczych rozprawach. Dla braku krytyki nie korzystał z źródeł jak należy, ale trzeba mu przyznać zasługę zrozumienia, że historia zewnętrzna bez połączenia jej z dziejami wewnętrznymi nie jest wystarczającą. W tem objawia się wyższy

jego światopogląd. Dzieła Bielskiego, podejrzanego o sprzyjanie nowinkom religijnym, były niszczone i stąd są dzisiaj wielką rzadkością.

Prawie nieznaną i zapomnianą zasługuje Marcin Bielski na wskrzeszenie jego sympatycznej postaci w dobie współczesnej, w której coraz silniej zwracają się umysły ogółu ku odległej puściźnie duchowej, zostawionej nam przez pionierów polskiej myśli i polskiego słowa.

T. W. J.



## Wśród wyznawców Mahometa.

Dla Europejczyka wybrzeże Azji Mniejszej, mimo bliskości Konstantynopola i biorącej w nim coraz bardziej przewagi kultury zachodu, pełne jest dziwów i niespodzianek. I to nietylko odmienny podpada nam obyczaj, ubiór, sposób poruszania się i cała strona zewnętrzna mieszkańców Skutari i wybrzeża. Budzi nasz podziw przede wszystkim odmienny sposób myślenia i zastosowania do niego całego życia; zgoła niezrozumiałym jest stosunek bytu do śmierci, istnienia do życia zagrobowego prawdziwych wyznawców Mahometa.

Ciekawe są pod tym względem spostrzeżenia podróżnika polskiego:

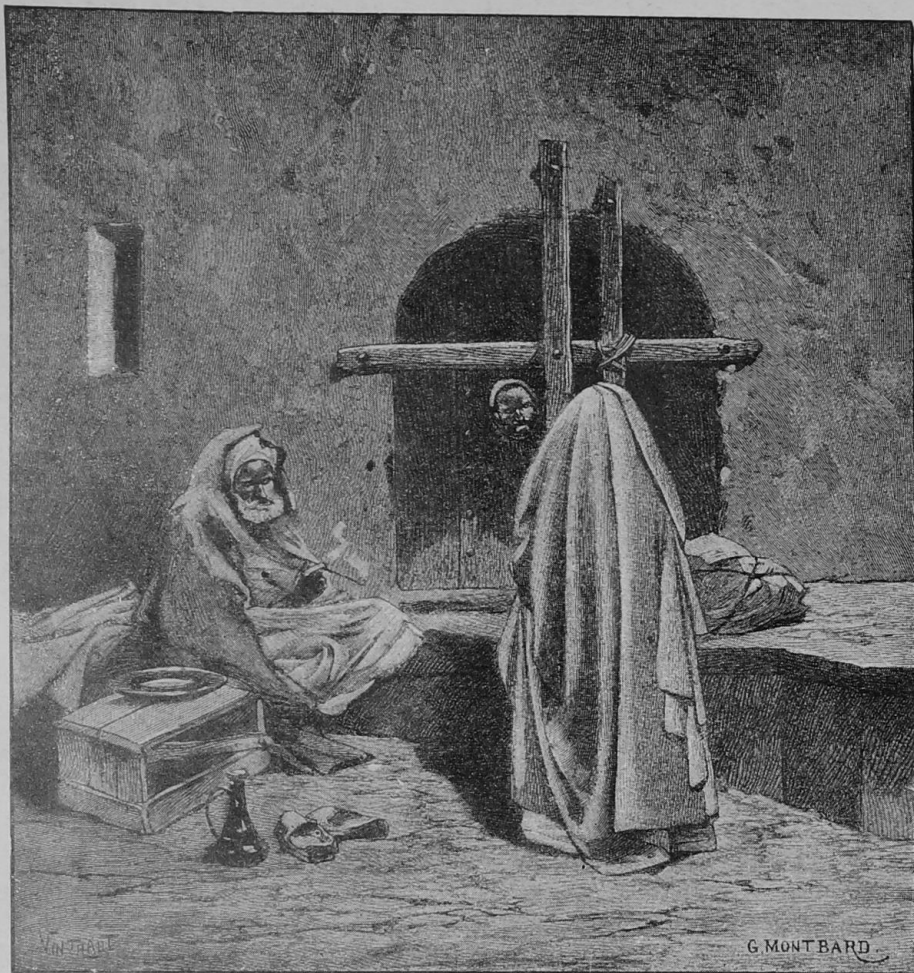
...Opuszczałem hałaśliwy i brudny statek turecki, który mię w ciągu kilkunastu minut przewiózł z Stambułu do Skutari — z Europy do Azji. Kilkundniowy pobyt w Konstantynopolu oczarował mię baśnią meczetów, ruin i cmentarzy, ale nie zdołał pomimo wszystko zaćmić szczególnego uroku, jaki dla nas, mieszkańców północy, posiada Azja.

Wszedłem odrazu w labirynt straganów, które w Turcji gnieźdzą się przy każdej głównej arterji ruchu, tamujących mi nieraz drogę. Purytańsko muzułmański charakter przedmieścia Skutari narzuca się przybyszowi przede wszystkim zupełnym brakiem europejskich napisów. Mimo to torowałem sobie i tym razem drogę samodzielnie, wiedząc już z doświadczenia, że najlepiej nieświadomości swej nie okazywać i nikogo o nic nie pytać bez koniecznej potrzeby. Europejski strój nie budzi w Skutari już żadnego wrażenia. Starożytne Chryzopolis persów, w którym Ksenofont obozował z swymi

mi 10,000 — potem kolebka i metropolja islamu — nie żywi wyraźnej niechęci do szarych, bezbarwnych franków, jak nas nazywają wyznawcy Mahometa. Ciągły stosunek z cywilizowanym brzegiem europejskim, imponująco tania tandeta, importowana uporeczywie z zachodu, wdrażyły niesprzeciwianie się złemu w obojętny z natury charakter muzułmanina. Jeszcze gdzieś dalej, w prawowiernej Brussie, siwobrody imam w rozpaczony szaty rozdziera na widok lokomotywy i chowa twarz przed wzięciem ostatecznej zagłady otomanów z okrzykiem: „jetiszyr!... jetiszyr!...“ (dosyć!) Tu, po drugiej stronie Bosforu, cudzoziemiec powoli stał się zwykłym narzędziem do łatwego wyciskania piastrow i czejreków (moneta wartości franka). A więc choćby i z tego względu lepiej sobie nie psuć nastroju, zwłaszcza gdy się wkroczyło do jednego z najbardziej romantycznych zakątków starożytnego świata...

Mijając miniaturowe jatki, uderzony zostałem widokiem dużej, starej kozy, spokojnie siedzącej pomiędzy dwoma trupami swych kuzynów baranów. Inteligentne nad wyraz spojrzenie wlepiła w przechodniów.

Zatrzymałem się, a wówczas koza zabeczała. Był to sygnał dla właściciela jatki, który też niezwłocznie wynurzył się z za jakiejś przybudówki, z dratwą w ręku. Człowiek ten zaiste powinien był obok dwojakiego swego zawodu — szewca i rzeźnika — znaleźć żywot bez troski, jako model dla Rembrandta. Z pod ciemnych brwi jego łysnął ku mnie i padł na jedno krótkie mgnienie wzrok drapieżny, stepowy — w tejże chwili zgasł w matowym morzu obojętności dla gapia giaura. Zawstydzilem się i szedłem dalej.



Derwisze w Skutari.

Nie wstępowałem już do małych meczetów, których moc się w Skutari na każdym niemal zakręcie spotyka, bo cuda bizantyjskich wewnątrz Aja-Sofji, Kahrie-Dżami (starożytna Chora z bajecznie zachowaną mozaiką), św. Ireny lub wspaniałych w swej wyniosłej prostocie i boskim majestacie meczetów Ahmeda, Bajazeta i Sulimana, jakimi pasłem oczy przez kilka dni, wystarczają chyba dla kogoś, kto nie uważa za swój obowiązek sprawdzić, czy wszystko na świecie jest tak, jak stoi w „Baedeker-



Cmentarz muzułmański w Skutari.

rze?“ Kierowałem kroki ku górze, ku największemu cmentarzowi muzułman Bujak-Mezaristan, który stokrotnie nazwano miastem umarłych.

Olbrzymią przestrzeń, jaką to miasto umarłych zajmuje, zalega gęsta puszcza cyprysów. Zwyczajem bowiem przyjętym na wschodzie przy każdej świeżej mogile rodzina zmarłego zasadza cyprys. Ziemia, użyźniana szczątkami ludzkimi, nie skąpi urodzajnych soków drzewku, które wybuja w wspaniałe, niebotyczne pnie, przedziwne w swej gotyckiej architekturze, czarne symbole tęsknoty tych, co pozostali, aby z niewyczerpanych kopalni Marmara wyciosować wciąż nowe, cudaczne, kształt ludzki zdala przypominające pomniki. Jak u nas krzyże, tak tu bieleją lasy nagrobków, strojnych w turbany, fezki, liście akantu lub kwiaty, jeśli w mogile spoczywa kobieta. Cisza i gęsty cień zalega święte, a przecie niczem nieodgrozone od reszty świata wnętrze olbrzymiego cmentarza. Odurzone słońcem godziny południowej prężą się, milcząc, cyprysy i piją z złotego deszczu promieni — radość wiecznej przemiany.

Kilka godzin spędziłem na pogodnym rozmyśleniu o rzeczach ostatecznych i o tem, jak inaczej odczuwają je muzułmanie. Oto w tem żywym, zgiełkliwym i kramarskim mieście Małej Azji na wszystkich drogach rozstajnych, na każdym niemal podwórzu zamieszkują umarli, przedziwnie splatając życie z śmiercią, w nieświadomości grozy mistycznej, właściwej nam, chrześcijanom. Życie w pojęciu tych fatalistów jest czemś tak nieistotnym, przypadkowym i przejściowym, że sam pogrzeb czyniony tu bywa z jakimś wstydlwym pośpiechem, prawie bez ceremonji i mów żałobnych. Oddaje się zwłoki co rychlej do ziemi, aby przyspieszyć komunję ducha z wiecznością.

Pogodna natura muzułmani na czerpie soki żywotne w pan-teizmie, który ma swoich kapłanów i ekstatyków w osobie derwiszów. Derwisze — to mnisi perscy lub tureccy (wyraz „derwisz” oznacza po persku człowieka ubogiego), tworzący różne sekty. W Konstantynopolu i jego okolicach grupują się dwie najważniejsze: derwiszów tancerzy, posiadających własny dom modlitwy w europejskim centrum Pera, oraz derwiszów wyjców, których „tekke“, czyli świątynia, znajduje się w pobliżu wielkiego cmentarza w Skutari. Ponieważ był to właśnie czwartek, dzień modłów, i zbliżała się go-

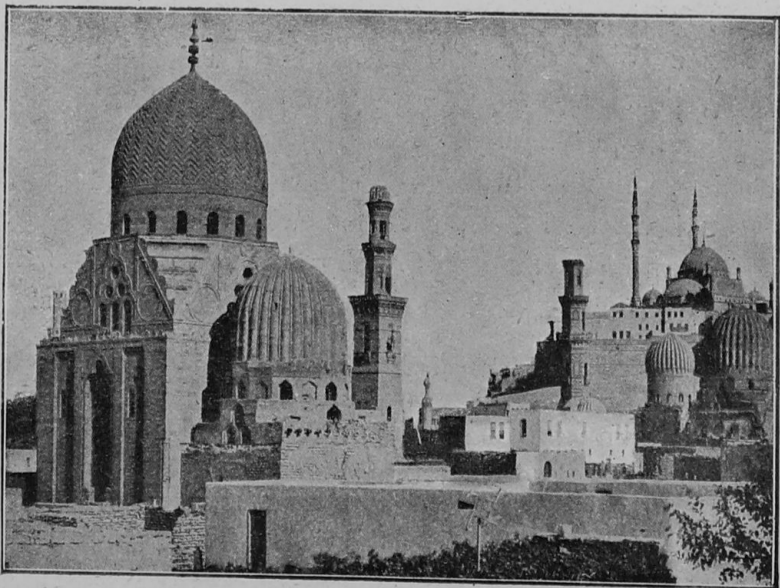
dzina trzecia, opuściłem las cyprysów i udałem się na poszukiwania świętego przytułku wyjących sekciarzy.



Chodża (kapłan) w Skutari.

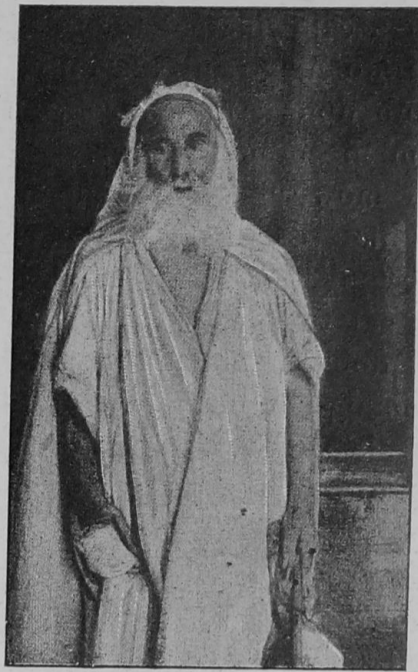
Nie bez trudu odnalazłem szary, jednopiętrowy, drewniany domek, otoczony mogiłami. Poznałem go po ornamencie frontowym, mającym wyobrażać promieniujące słońce. Odźwierny, milcząc, otworzył mi furtkę do ogrodu. Inny „chodża“ (kapłan), również w milczeniu, wyciągnął rękę po należny od giaura podatek i wpuścił mnie do czworograniastej, schludnej sali, w której już oczekiwały na widowisko dwie stare i brzydkie angielski.

Po ścianach wisiały bębny i kaligrafowane wypisu z Koranu, jak zawsze w meczetach; tu jednak uwagę przybysza pociąga nadewszystko ołtarz, udekorowany instrumentami o niezmiernie intrygującym przeznaczeniu. Wiszą na nim mianowicie przeróżne narzędzia inkwizycyjne, jako to: haki, cęgi, różgi stalowe, łańcuchy i noże — wszystko uciepione na kilku skrzyżowanych halabardach. Podłoga sali, licząca kilka metrów kwadratowych, wysła-



Widok Stambułu.

na czystymi słomiankami i skórą białych owiec. Przez otwarte naoscież okna ciepły wiatr wpędzał woń rozkwitających krzewów i oszalałe w słońcu mu-



Imam wyjców skutaryjskich.

chy. Kury, gdczące pod oknami w ogrodzie, wytwarzały nastrój sielski i swojski — i naprawdę trudno było pogodzić się z myślą, że za chwilę te drewniane, wokół drapieźnie przyozdobione ściany będą świadkami wielkiego misterjum...

(d. n.).

Konstantynopol, 30-go kwietnia.

T. N.



HENRYK RZEWUSKI.

## Zamek krakowski.

Romans historyczny z wieku XVI.

(c. d.).

Na widok gubernatorskiego syna szlachta z uszanowaniem powstała, ale kozacy tylko skinieniem głowy go powitali, co na wstępie niepomału ubodło zuchwałego towarzysza pancernego. Rzekł jednak do nich:

— Winszuję waćpaństwu wesołej zabawy.

— Racz-że i waszmość do niej przystąpić — odpowiedział kozak jednooki — proszę z nami. Tylko pan towarzysz pancerny po pańskich dworach do czego lepszego przywykł, niż do wiśniaku. Panie arendarzu, słyszałem, że winem handlujesz; przynieśże nam węgierskiego, ale najlepszego, co go masz w swojej piwnicy.

— Mości towarzyszu zaporozki — odezwał się pan Ezechiel — wina z dobrego serca ofiarowanego nigdy się nie odmawia. Ale jak się waszeć dowiesz, w jakim interesie do niego przybywam, to może po-

żałujesz tego, że mnie z taką uprzejmością chcesz przyjąć.

— Bynajmniej, mości pancerny; człowiek, któremu zbroja sukienką, a oręż najmilszą zabawką, kiedy się spotka z człowiekiem tego samego cechu, jakież może mieć do niego interes inny, tylko żeby się z nim bić, lub upić! Ani jednego, ani drugiego, ani dwóch razem nie odmawia się.

— Ślicznie mówisz, panie atamanie; czuję to, lecz tak dobrze nie umiałbym tego wysłowić. Od razu przeniknąłeś myśl moją. W samej rzeczy chciałbym z waszecią załatwić pewien rachunek.

— Dobrze, dobrze, ale nikt nas nie pędzi, żebyśmy tego nie mogli odłożyć na później, a teraz bawmy się inaczej. Zabawa aż nadto prędko sama z siebie znika; niewiele roztropny ten, co ją dobrowolnie skraca.

Wtem pokazał się na progu arendarz z drugim żydkiem; obaj dźwigali kosz napełniony butelkami. Żydzi porozstawiali lampeczki i wzięli się do odkorkowania. Na widok niepospolitego wówczas trunku, czynszowa szlachta zabierała się do opuszczenia towarzystwa, ale Cyt-Detyna ją zatrzymał, mówiąc:

— Nigdy na to nie pozwolę, byście nas odstąpili. Im więcej biesiadników, tem się prędzej butelki wypróżnią, a one na to są dane ludziom. Kto więcej przepije, ten się na mnie pokaże łaskawszym. Ale cóż to, żydzie? czy myślisz, że my hafarki, że naparstki nam podajesz? przynieś-no kufel szklany, coby go bez wstydu w obieg puścić można.

W okamgnieniu stanął puchar rozmiaru poważniejszego. Ataman wziął butelkę, powstał i napełniwszy kufel rzekł:

— Zdrowie wszystkich pięknych dziewcząt kalnickich! Do waszmości, panie towarzyszu pancerny! — i trzema haustami go wypróżnił, a napełniwszy go oddał panu Ezechielowi, dodając: — Swoje zrobiwszy, puszczaj go dalej.

— Tak miłe zdrowie inaczej uczyć wypada — i nie odejmując od ust, w jednej chwili go wysuszył, wypróżnionem kuflem stuknął po swoim ciemieniu, nanowo go napełnił i wręczył rudemu kozakowi.

— Tęgoś mi się popisał, mości towarzyszu — rzekł ataman. — No sahadacny! żeby się Zaporozie przed lachami nie powstydzilo!

Rudy kozak jednym tchem połknął wino i kufel puścił dalej.

Był to węgryz nie pierwszej młodości, zabawa coraz była żwawsza, i wkrótce biesiadnicy bardzo byli kontenci z siebie.

Wszakże pamiętny swego pan Ezechiel odezwał się do atamana:

— Mości atamanie, zabawa zabawą, a interes interesem. Nasi mówią, że interes przy zabawie najlepiej się układa. Żebyśmy się zawczasu o niego umówili, każdy byłby pewny swojego, i zabawa je-

szceby szła gładziej. Już waszec się domyślasz, o co rzecz idzie.

— Mnie w ciemę nie bito, mości towarzyszu. Jak tylko waszmość do nas przybyłeś, domyśliłem się, że szlachcie pasowany na rycerza, jeżeli zaporozca szuka, to nie dla zrobienia jemu grzeczności; ale jutro Preczyste, a w wigilję wielkiego święta czasem się pości, ale nigdy nie bije. Potem jarmark, do załatwienia mam sprawunki i różne interesiki, co mi je moja starszyna poleciała. Zrana to się jakoś upora, a po południu niech się dzieje woła Boża. Waszmość radbys się ze mną spróbować; juźci i mnie się nie godzi być od tego. Ale gdyśmy się już o tem upewnili, cóż za potrzeba ciągle się tem zajmować przed czasem? Chciałbym tylko wiedzieć, z jakiego powodu właśnie mnie wypada jemu służyć, i to zaraz po pierwszym poznaniu?

— Z tego winienem się wytłumaczyć przed waszecią, mości atamanie; bo roztropność, chociażby największa, jest chuda bez dzielności, i dzielność bez roztropności niewiele warta. Otóż powiem waszeci, że kiedy się tak złożyło, iż człowiek prócz jednego konia i rycerskiego rynsztunku żadnej własności nie posiada, choćby na zawinięcie palca, trudno od takiego wymagać, by nie szukał jakiegoś pożytku z swojej broni.

— Nie byłbym zaporozcem, mości towarzyszu, żebym na pamięć nie umiał, że dla rycerza szabla i kopja są tem, czem folwarki dla obywatela na wsi. Ale nie widzę, by to się do nas ściągać miało, bo my sami potrzebujemy pieniędzy, a nie liczymy się do tych, coby je mogli drugim udzielić.

— Widzi waszec, mnie to na sercu ciąży, jak młyński kamień, że waszec nie dobywszy szabli z pochwy, uchwyciłeś pięćset złotych z rąk mojego ojca. Waszeci samemu musi być wstyd, żeś je z taką łatwością dostał; godziłoby się o nie po naszem potargować, choćby dla zapewnienia sobie ich prawego, a sumiennego posiadania. Ale ot! czego chcę: żebyśmy na siebie jutro natarli, jakeś mi waszec tego już uczynił nadzieję, a warunki, które jemu podaję są takie: jeżeli waszec lepszy odemnie i mnie obalisz, to mojego konia i moją zbroję zabierzesz z sobą do swojej Siczy, a ja, jeżeli żyw zostanę, powlokę się z wstydem do mojego ojca i za piecem położę się, bo mi już wtedy nie pokazywać się między ludźmi. Ale jeżeli Bóg będzie za mną, to i waszeci koń, i to coś zabrał mojemu ojcu, będą już moją własnością. Bo lubo się z tem nie taję, że radbym z całego serca jutro choćby waszeci kopją przybić do ziemi, jednak z pierwszego wejścia taki powziąłem dla niego szacunek, że mu otwarcie wynurzę stan moich interesów. Waszec słyszałeś, że u nas bezkrólewie; to może długo potrwać, a wtedy rycerz siako tako obeznany z szabłą będzie miły, jak panienska posażna na wydaniu. Ale jakże o tem pomyśleć, nie mając nawet czem giermka oporządzić, a cóż dopiero sprawić mu

konia? Do ojca się udać! Ale prędzejby mi się udało łbem zrobić wyłom w pleskowskich murach, niż wydobyć z afektu rodzicielskiego aby jeden złoty polski. Więc waszeć rozumiesz do czego się ściąga moja mowa, i dla czego te pięćset złotych, coś je nabył prawem kaduka, ciągle brzęczą w mojej mózgownicy. A jak się umówimy na jutro, będę spokojniejszy i weselej im z waszecią się bawić. Wszak prawda, że moja propozycja i słuszna i sprawiedliwa? czy może być odrzucona?

— A broń Boże! mości towarzyszu! Nic sprawiedliwszego nad warunki, które podajesz. Patrzałem dopiero przez okno, jak waszmość wjeżdżałeś na swoim bachmacie. Niema co mówić! koń dzielny, nasz hetman nie powstydziliby się na nim nasze rycerstwo do Carogrodu prowadzić. Daleko naszym koniom do waszmościego!

— Więc zgoda, podajmy sobie ręce i zapijmy tę sprawę!

— Zgoda, masz na to waszmość moją rękę. Wszak póki pora mówienia, czemu nie rzekłeś: przypuść mnie do jakiej części tej zdobyczy, coś ją uchwycił mojemu ojcu?

— Widzi waszeć, rozumiem dlaczego to mówisz, ale tak już być nie może. Wreszcie możebym i nie był od tego, żeby rzecz tylko szła o pieniądze jedynie, ale tu jeszcze inna okoliczność zachodzi.

— Jakaż to?

— Oto trzeba, żebyś waszeć wiedział: jest w moje przyrodzeniu, że ścierpieć nie mogę, kiedy mi się kto sprzeciwia.

— A to wiśmienicie! waszmość masz we mnie rodzzonego brata, bo ja także nie lubię, kiedy ten, z którym mam do czynienia, nie tak robi, jak ja chcę. Ale cóż dalej?

— Waszeć chyba zapomniał, że kiedy pan chorąży Mroczek suchej nitki nie zostawił na panu Kazimierzu, ująłem się za przyjaciela, za kolegą szkolnym i wojennym, bo też on był pod Połockiem czołem naszego rycerstwa. Powiedziałem i słusznie, że jeden tylko pan Samuel Zborowski mógłby jemu dorównać, a waszeć...

— A ja powiedziałem, że jemu daleko do pana Samuela, co i teraz powtarzam.

— Wyśmienicie! rzecz skończona. Waszeć od swego, ja od mojego nie odstępujemy, tem lepiej; a więc jutro się pokaże, przy kim prawda. Waszeć dziś częstujesz, boś w dostatkach, a co do mnie, w jutrze cała moja nadzieja, że i ja będę miał czem drugich ugościć.

— Wszak waszmość będąc towarzyszem pancernym, tęgim do korda, a do tego pasowanym na rycerza, nie podobna żebyś nie miał jakich dochodów z swojej broni, bo jużci dajesz mi dowody, żeś nie leniwy. Nie taję się z tem, że nie jestem bez grosza, i że ta nasza uczta bynajmniej nie nadwyręży kwoty, o którą w dniu jutrzejszym mamy się

rozprawić; ale to mówię dla zaspokojenia mojej ciekawości. Bo ten co żyje z swojego oręża, rad wiedzieć, jak inni z tego rzemiosła korzystają.

— Już to Bogiem a prawdą, kiedy niekiedy coś kapnie, bo bez tego nie byłoby i koszuli na grzbiecie. Wszak odkąd po odprawie, danej mi w Zborowie, u ojca mieszkam, jeszcze szeląga nie odebrałem z rąk jego. Myśli, że jak da obiad i wieczerzę, to już wszystkiego mam do zbytku. Owies, co go dosypuję mojemu Siwoszowi, już mu jest solą w oku, co dzień mnie to wymawia, rad nierad człowiek się musi imać przemysłu. Czasem na gościńcu kogoś zobowiązę do podziału; ale co to warto? grosz z groszem się nie spotyka. Wyście zupełnie mnie popsuli rzemiosło.

— A cóż my waszmości winni?

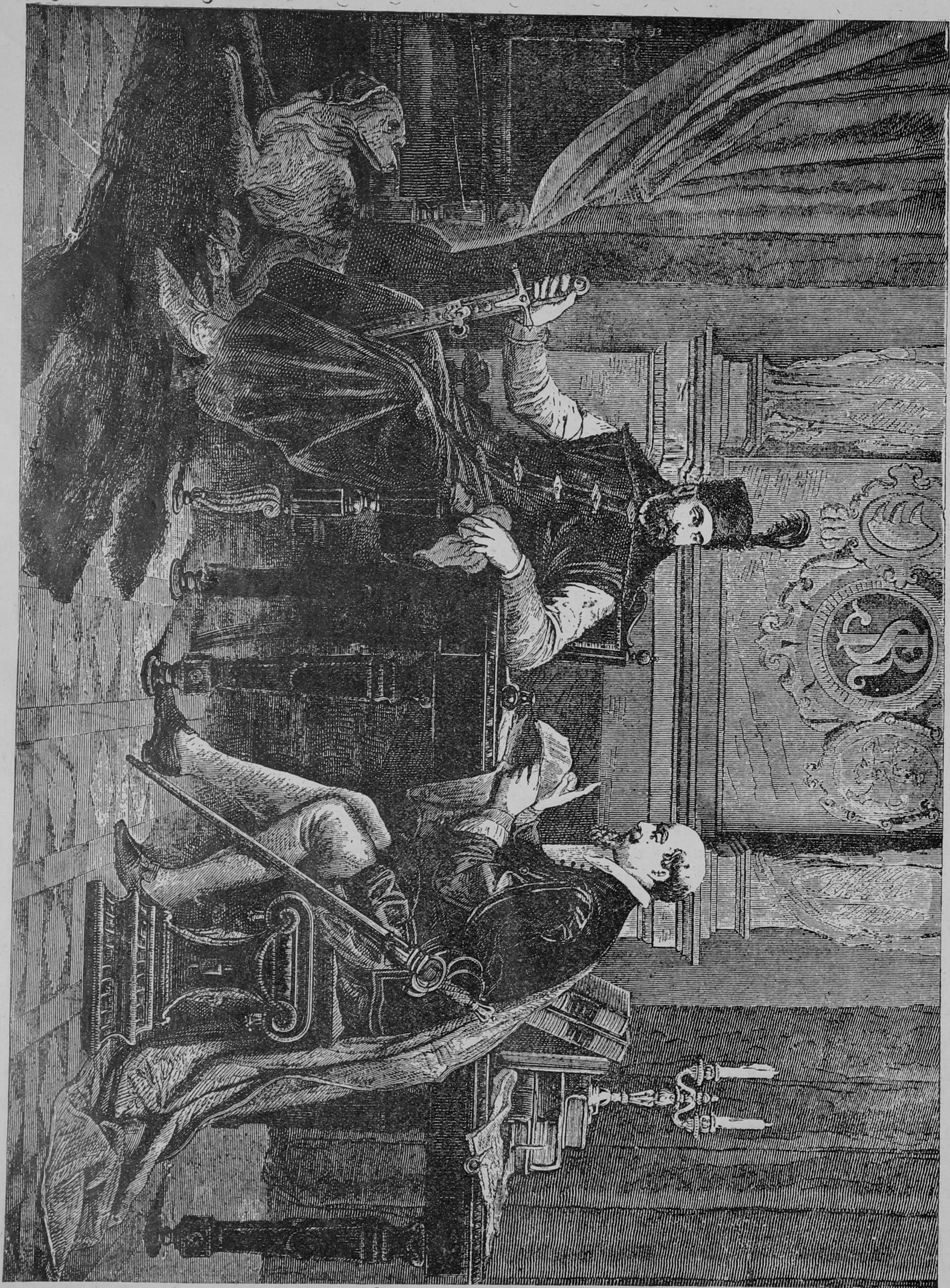
— Odkąd zawarliście jakieś przymierze z moim ojcem, tutejsi kupcy nie boją się napadu, a więc nie mają potrzeby do mnie udawać się z prośbą o pomoc.

— A któż broni waszmości przenieść się w dobrą stronę, gdzie naprzykład gubernator, zaufany w swoje ostrokoły, o nas nie dba, a gdzie my bez wyrzutu sumienia jego kupców na drodze rabujemy?

— Toć o tem ciągle myślę, ale cóż! nie mogę dorobić się tego, bym mógł nabyć konia pod mojego luzaka. Wstyd mi szlachcicowi puszczać się samopas, żeby sobie samemu w oczach ludzkich i buty ściągać i konia napawać. Ale niechno będę miał o czem luzaka przerobić na giermka, żeby na porządnym koniu nosił moją tarczę herbową, to pewnie niedługo Kalnik cieszyć się będzie moją bytnością!

— Kiedy się tak rzeczy mają, to wyznam otwarcie, że nie zamieniłbym mojego zaporoskiego żywota na wasz zawód rycerski.

— Ba, a któż o tem wątpi, że się u was dobrze dzieje? Napadacie na kogo chcecie; wam tylko, żeby siebie nie dać zabić w potyczce, a jeżeli przeciwnika który z was uśmierci, wasza starszyna ani się spyta, czy trup szlachecki, czy nie. A u nas starostowie, grody, chorążowie, sądy: a każdy rości sobie prawo wglądać w postęпки rycerza. Czy takiego przekonasz, że przybić kogo do ziemi kopją, albo mu głowę na dwoje rozplatać koncerzem, jest rzeczą piękną i niewinną? Bezpieczniej wyprzeć się najmężniejszego czynu, wreszcie odprzysiądz się, kiedy nie wierzą. Bo inaczej grzywny, wieża... Z czego to żyć może u nas ubogi rycerz? Kupce możni łączą się w tabor i otrzymują w pomoc zawsze kilku towarzyszków kawalerji narodowej. Waszeci wiadomo, że na żołnierza Rzeczypospolitej żaden szlachcic się nie porwie, kiedy on służbę swoją pełni. Na szlachcica osiadłego napaść, kiedy on podróżuje, możnaby się obłowić; ale za to straszna odpowiedzialność przed sądem. (d. c. n.).



C. DYLCZYŃSKI.

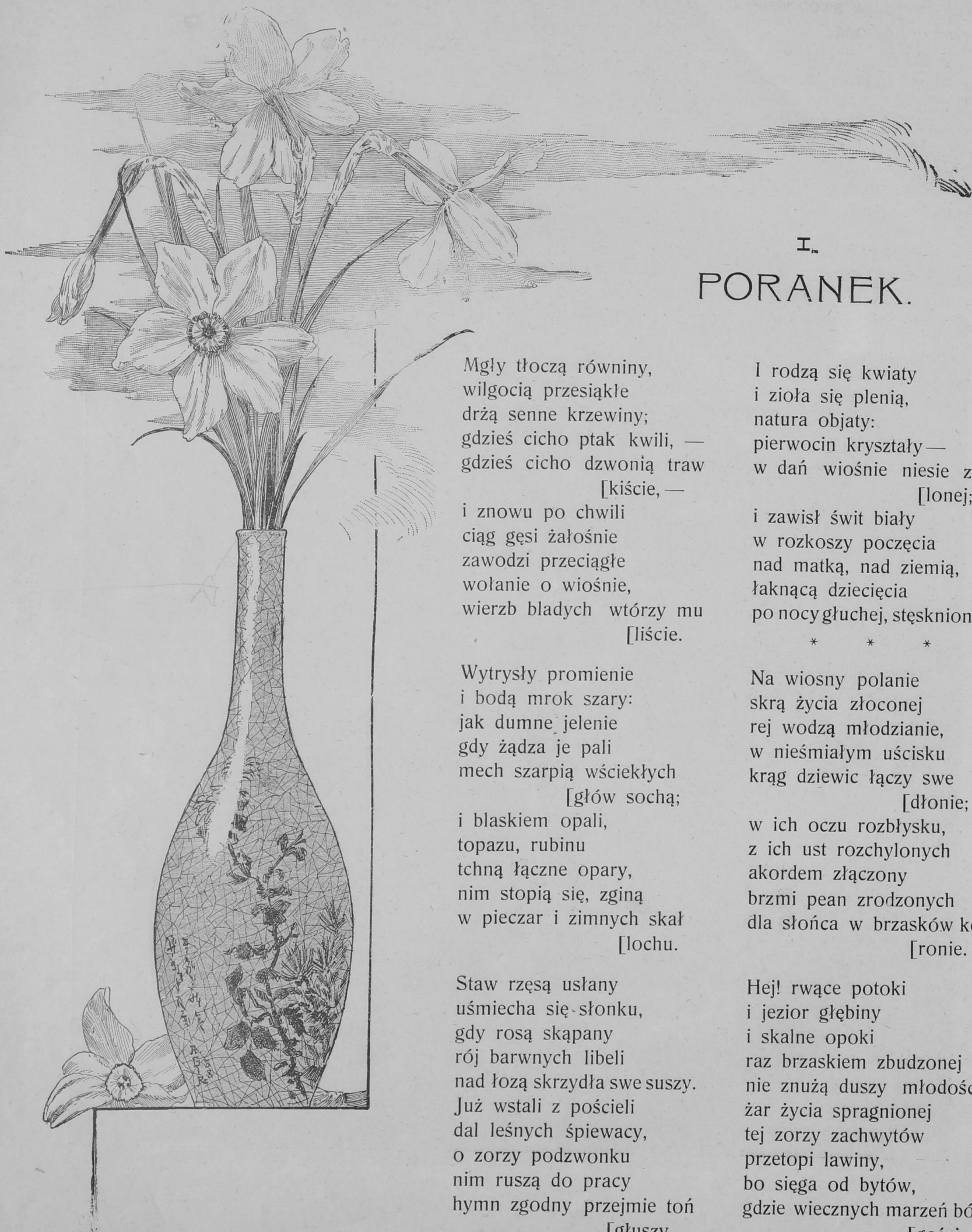
STEFAN BATORY I HEIDENSTEIN SPISUJĄCY HISTORJĘ KRÓLA.





ŚWIĘTO WIOSNY.

# CZTERY PORY.



## I. PORANEK.

Mgły tłoczą równiny,  
wilgocią przesiąkłe  
drżą senne krzewiny;  
gdzieś cicho ptak kwili, —  
gdzieś cicho dzwonią traw  
[kiście, —

i znowu po chwili  
ciąg gęsi żałośnie  
zawodzi przeciągłe  
wołanie o wiosnie,  
wierz białych wtórzy mu  
[liście.

Wytrysły promienie  
i bodą mrok szary:  
jak dumne jelenie  
gdy żądza je pali  
mech szarpia wściekłych  
[głów sochą;

i blaskiem opali,  
topazu, rubinu  
tchną łączne opary,  
nim stopią się, zginą  
w pieczar i zimnych skał  
[lochu.

Staw rzęsą usłany  
uśmiecha się słońku,  
gdy rosą skąpany  
rój barwnych libeli  
nad łożą skrzydła swe suszy.  
Już wstali z pościeli  
dal leśnych śpiewacy,  
o zorzy podzwonku  
nim ruszą do pracy  
hymn zgodny przejmie toń  
[głuszy.

I rodzą się kwiaty  
i zioła się plenią,  
natura objaty:  
pierwocin kryształ —  
w dań wiosnie niesie zie-  
[lonej;

i zawisł świt biały  
w rozkoszy poczęcia  
nad matką, nad ziemią,  
łaknącą dziecięcia  
po nocy głuchej, stęsknionej.

\* \* \*

Na wiosny polanie  
skrå życia złoconej  
rej wodzą młodzianie,  
w nieśmiałym uścisku  
krąg dziewic łączy swe  
[dłonie;  
w ich oczu rozbłysku,  
z ich ust rozchylnych  
akordem złączony  
brzmi pean zrodzonych  
dla słońca w brzasków ko-  
[ronie.

Hej! rwące potoki  
i jezior głębiny  
i skalne opoki  
raz brzaskiem zbudzonej  
nie znużą duszy młodości;  
żar życia spragnionej  
tej zorzy zachwyków  
przetopi lawiny,  
bo sięga od bytów,  
gdzie wiecznych marzeń bóg  
[gości.

Jak róże Bengalu,  
jak lilje Saronu  
nadzieją się palą  
ich myśli płomienie  
i życie tulą w objęcia:  
Hosanna! zbawienie!  
W tych związków swobodzie  
pod światel osłoną  
wstał genjusz w narodzie,  
świat zdumił cudem poczęcia.

Hej! w słońce, na szczyty!  
Przez ciernie i głązy,  
na jasne błękity,  
na jutrzni ogrody  
poezji rydwan rwie złoty.

Z wiatrami w zawody  
zrodzony w purpurze

opuszcza upłazy  
i mierząc ku górze  
król — orzeł wzniósł swoje loty!

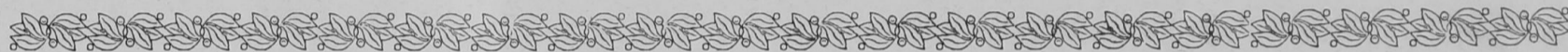
\* \* \*

To wiosny poranek — to wiosna  
[jest życia;  
jak wróżka snów złotych, jak wio-  
[tka dziewica  
swe w słońcu kąpiąc korale —  
po zorzy promieniach się spu-  
[szcza z ukrycia  
i płynie ku ziemi i nurza swe lica  
w wskrzeszonej blasku i chwale.

A ludzkość jej służy i wieńców  
[zwój wije  
na wiosny — życia witanie,

i pieśni jej śpiewa i w dzwonów  
[spiż bije  
na wiosny — życia zesłanie:

Bywaj złotowłosa  
córo Afrodyty!  
Bywaj życia pani!  
Już wieniec uwity  
na boskie twe skronie,  
już ścielą pod stopy  
błękitne się fale,  
kobierzec już złoty  
utkany tęcz krasą  
się wije w przezroczy;  
już kąpiel gotują  
śnieżne Amfitryty —  
Bywaj, wiosny pani,  
córo Afrodyty!

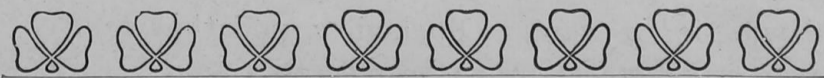


## NASZE RYCINY.

### Pamiętniki Heidensteina.

Reinold vel Reginald Heidenstein pochodził z rodziny hrabiowskiej z Toskanji, osiadłej na Pomorzu, gdzie posiadała dobra Solec, do którego także przybierała nazwisko Soleckich. Urodził się około roku 1550 w Solcu, z ojca Bernarda i matki Anny z Krakowskich. Starannie wychowany, wiele podróżował po Niemczech, Francji i Włoszech. Jako sekretarza księcia pruskiego, poznał go Jan Zamoyski, szybko zdolnego młodzieńca ocenił i do kancelarii koronnej, do swego boku przygarnął. Wkrótce Heidenstein pozyskał tu względy nie tylko kanclerza, lecz i samego króla Stefana, który wiedzę jego, takt i zdolności dyplomatyczne wysoko ważył. To też niejednokrotnie powierzono mu ważne poselstwa i trudne zlecenia, z jakich ku zadowoleniu króla i kanclerza dobrze się wywiązywał. Wkrótce zabrał się do spisywania „Pamiętników“ o wyprawach królewskich. Dzieło to wyszło w języku łacińskim w sześciu księgach, w Krakowie, w drukarni Łazarzowej w 1584 roku. Pomagał mu w źródłowej tej pracy, a prawdopodobnie i całe nieraz dyktował ustępy kanclerz Zamoyski, jak to widać z listu jego do biskupa Tylickiego. Całą zaś pracę przeglądał i własną ręką poprawiał sam król, Stefan Batory, co wszystko nadało jej wysoki stopień dokładności.

Rycina nasza przedstawia Batorego, któremu Heidenstein czyta jeden z świeżo wykończonych ustępów swych „Pamiętników“.



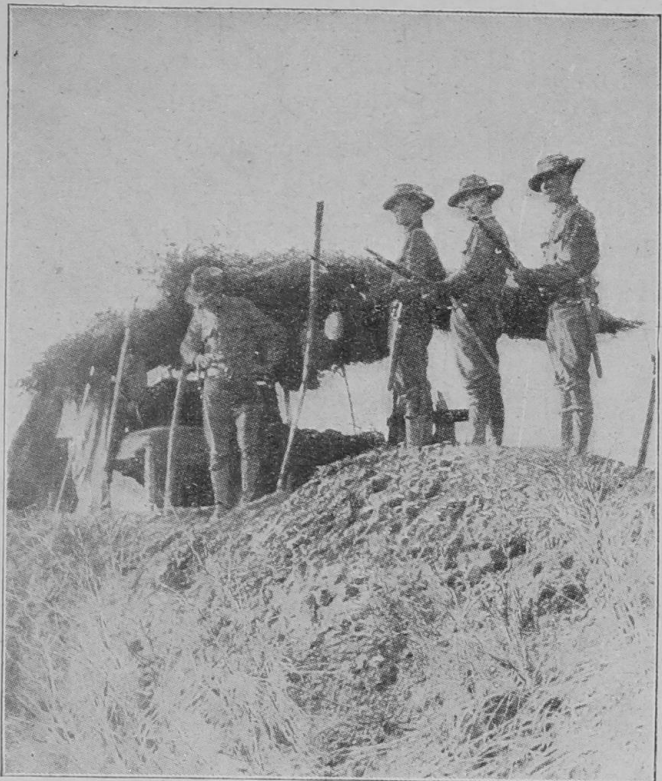
## KRONIKA POLITYCZNA.

Wojna meksykańska po zajęciu przez amerykańców miasta portowego Vera Cruz i kilku potyczkach szybko przeszła w zawieszenie broni. Pośrednictwo swe ofiarowały rzeczypospolite Argentyna, Brazylja i Chile, a Stany Zjednoczone skwapliwie podjęły sposobność do zaprzestania dalszych kroków wojennych, których wynik byłby wątpliwy. Zginęło już kilkaset ludzi, zniszczono dużo domów i groza wojenna obu stronom zajrzała srogo w oczy. Opuszczona miejscowość Tampico zagrożona jest katastrofą. Skutkiem wojny zaprzestano pracy w kopalniach ropy, która wypłynęła z źródeł i zalała całą okolicę, tworząc wielkie jeziora. Wystarczy jedno zarzewie, a całe Tampico znajdzie się w morzu płomieni i nikt żywy nie ujdzie z tego piekła. Ustąpienie prezydenta Huerty i zawarcie pokoju może położyć kres tej i dalszym klęskom.

Natomiast gotuje się znów w kotle bałkańskim. Epiroci zajęli miejscowość Kolonję, korzystając z nieobecności żandarmerji albańskiej, znajdującej się w zajętej przez wojsko ks. Wieda Koricy. Epiroci pozabijali podobno kobiety i dzieci i podpalili miasta. Wiadomość ta wywołała w Durazzo wielki niepokój i zachwiała i tak już niepewne stanowisko nowego władcy, przeciw któremu zdążyło się już utworzyć sprzymierzenie, zamierzające pozbawić go tronu. Biedny ks. Wied złorzeczy zapewne tej chwili, kiedy zdecydował się przyjąć swą ciernistą koronę.

Młode Chiny pod wpływem nowych idei, przyniesionych z europejskiego zachodu i nienawiści do mandzurskich władców, zapragnęły zapewnić sobie po wszystkie czasy bezwzględna wolność obywatelską,

burząc monarchję, zaprowadzając ustrój republikański. Naprózno w okresie wrzenia i walk rewolucyjnych głosy rozważniejsze, ba nawet całe stronnictwa

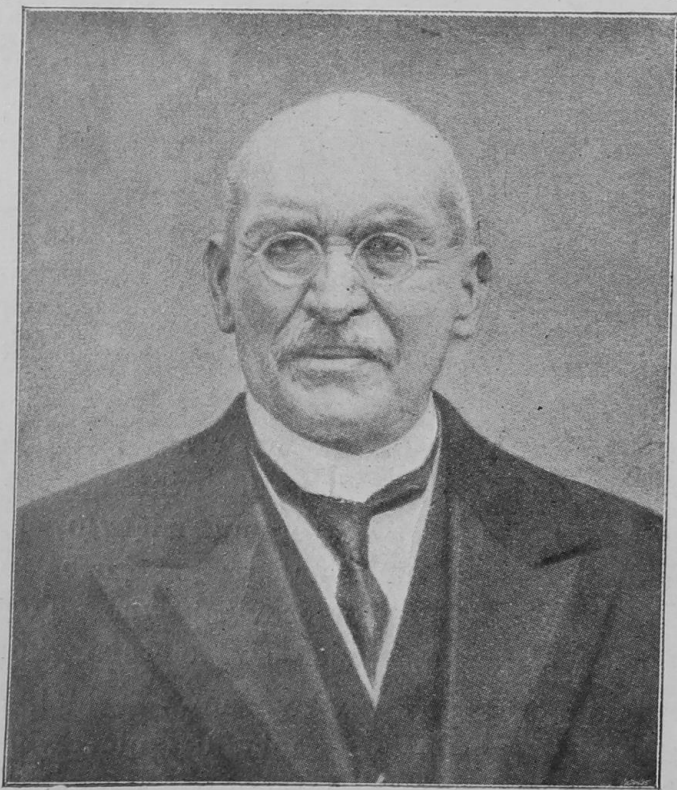


Amerykańska straż wojenna na granicy Meksyku.

północnej, bardziej z dworem cesarskim zżytej części kraju, przestrzegały przed zbyt gwałtownością przemiany.

Ogarnięci szalem rewolucyjnym przywódcy południa postradali krytycyzm, świadomość przeciwieństwa, jakie zachodziły między instytucjami wolnościowymi cywilizacji europejskiej, a poziomem kulturalnym społeczeństwa chińskiego; narzuciły więc państwu formę polityczną, która się w praktyce wcale nie dała wcielić w życie.

Po okresie rewolucji i wojen domowych pań-



Prezydent Meksyku Huerta.

stwowość odrodzonych Chin powraca przeto do dawnych urzędzeń pod zmienioną nazwą.

Ogłoszono więc nową chińską konstytucję. Jeszcze nie ostateczną, jeszcze raz „tymczasową“. Ale zdaje się nie podlegać wątpliwości, że ustawa ostateczna, którą ma opracować komisja, złożona z 10 radców administracyjnych rządu, jeszcze bardziej zaakcentuje samowładztwo prezydenta Juanszikaja, z pochodzenia rodowitego chińczyka. Już obecnie przysługują mu prawa monarchy, ograniczonego tylko bardzo nieznacznie i formalnie. Praktykate ograniczenia sprowadzi zapewne do zera.

Prezydentowi przysługuje prawo wypowiedzenia wojny, zawierania pokju i traktatów z obcymi państwami, mianowania ministrów, którzy tylko przed nim są odpowiedzialni, wyznaczania wszystkich urzęd-



Willa, z bandyty „jenerał“.

dników i oficerów, dowolnego rozporządzenia wszystkimi siłami zbrojnymi lądowymi i morskimi państwa oraz przeznaczania funduszków na cele wojskowe.

Władza Juanszikaja nie ogarnia całych Chin, lecz tylko ważniejsze centra. Aparat administracyjny i wojskowy nie jest dość rozwinięty, by mógł zapewnić posłuch władzy w wszystkich częściach ogromnego terytorjum.

Co się tyczy ciała urzędniczego, to jego skład osobisty jest obecnie pozbawiony wielu sił rutynowanych, które zajmowały ważne stanowiska za czasów cesarstwa.

Najslabszą stroną, najkrytyczniejszym punktem obecnego położenia politycznego państwa chińskiego są finanse. Wyczerpanie gospodarcze narodu wskutek niszczących wojen domowych i anarchji, panującej jeszcze obecnie w wielu częściach kraju, objawia się w zaniku dochodów podatkowych, co stawia państwo na progu bankructwa.

Położenie Chin jest bardzo ciężkie. Juanszikaj skoncentrował w swym ręku absolutną władzę państwową. Ale organa wykonawcze tej władzy są niedołężne, a ludność która ma dostarczyć środków na utrzymanie państwa jest ekonomicznie wyniszczona.

*Lech.*

WŁADYSŁAW KAROLI.

## POCALUNEK.

Mieszkaliśmy w jednym domu...

Ona na facjatce przy boku ojca urzędnika i matki schorzałej, a ja „okno w okno“ na drugiej facjatce, do której droga wiodła przez inne schody.

Wieczorem, kiedy powracałem po uciążliwej pracy do domu, aby zasiąść do dalszej, rozłożonej na stole, ustawionym pod oknem, mimowoli musiałem piękność swej sąsiadki podziwiać.

Czy wieczorem przy oświetleniu lampy, czy w w dzień jasny, zawsze wydawała mi się niezwykle urocza.

Oczy jak habry, kibić zgrabna i wysmukła, jasne, przepyszne blond włosy i uśmiech na małych usteczkach precudny, a bolesny zarazem, zdobiły jej piękną postać.

Miała nie więcej niż lat siedemnaście.

W domu u nich było, jak mówią „krucho“, bo w tak młodym wieku widziałem ją wiecznie zapracowaną siedzącą przy oknie.

Walentowa, stróżka, która była ochmistrzynią mego dworu i przychodziła codziennie zaopatrywać mnie w naftę, bułki i serdelki, kiwała znacząco głową, patrząc na mnie, a nawet raz ośmieliła się zauważyć:

— Pan to pewnie kocha się w tej paniencie z przeciwka. Widzę, że ile razy pan głowę podniesie, to patrzy zawsze w to okienko, a bo co prawda, to śliczne tam stworzenie siedzi... może z tego co będzie!

Ofuknąłem Walentową, aby podobnych uwag nie robiła, gdyż żadnych zamiarów względem pa-

nienki z przeciwka nie mam, a tylko, spoglądając czasem w okno, podziwiam pracowitość dziewczątka w tak młodych latach.

— Pracowita to, bo pracowita—rzekła stara— szkoda żeby się z jakim nieponiem nie zmarnowała... I na tem się rozmowa skończyła.

Niespełna w trzy tygodnie Walentowa moja kręciła się po moim pokoju, jakby przed wyjściem chciała mi coś ważnego powiedzieć.

Zrozumiałem, że ma coś na sercu, więc zagadnąłem:

— Czy Walentowa ma jaki interes?

— Eee... nie, proszę pana, tylko chciałam powiedzieć, że ta z przeciwka ma już narzeczonego...

— Co to mnie może obchodzić?

— A nie, proszę pana, jano chciałam powiedzieć panu, że jest on do pana bardzo podobny. Ten sam wzrost, ten zarost, ten sam chód, tak że, nieprzymierzając, można by wziąć pana zdaleka za jego brata, czyli jego za pana.

— To tylko Walentowa miała do powiedzenia?

— A tak, proszę pana, bo to mi się bardzo dziwnem wydało.

Zaciekawiony spostrzeżeniem stróżki, w niedzielę obserwowałem wyjście moich sąsiadów z domu na spacer.

I spostrzegłem, że rzeczywiście przy boku mojej sąsiadki — Władzi, szedł młody aspirant do jej serca. Na pierwszy rzut oka dziwnie był do mnie podobny, lecz... przystojny, gdy tymczasem ja uro-

da pochwalić się nie mogę.

W dwa tygodnie znów potem, przyszedłszy do mojej izdebki, znalazłem kartę na stole:

„Niech pan będzie łaskaw dziś zajść do mnie; mam bardzo ważny interes, dziś koniecznie! Życzliwy rządca domu

*Przepiórkiewicz“.*

Pobiegłem niezwłocznie. Szaro już było na schodach, nieoświetlonych jeszcze, gramoliłem się więc na nie, z góry miarkując, ażebym przez pomyłkę nie wszedł do mieszkania rodziców Władzi, którzy zajmowali mieszkanie w sąsiedztwie zarządzającego domem. Kiedy pomyślałem o tem w duchu, nagle posłyszałem, iż drzwi któregoś z miesz-



W 25-letnią rocznicę wystawienia wieży Eiffel w Paryżu.

kań raptownie się otworzyły i postać niewieścia szybko zbiegła po schodach.

Spotkawszy mnie na drodze, rzuciła się z całą siłą w me objęcia, szeptała wymówki:

— Mój kochany, dlaczego tak późno? Tego nie lubię, zapominasz się!

A kiedy przytrzymałem ją delikatnie, ażeby razem z nią nie stoczyć się z schodów, poczułem na swych wargach słodki pocałunek.

— Prze... prze... — bąknąłem nieśmiało.

Władzia, ona bowiem to była, porwała się jak spłoszona sarna i uciekła szybko; słyszałem tylko drzwí, z łoskotem się zamykające.

Oszołomiony, znalazłem się u rządcy domu...

Prosił mnie grzecznie usiąść i tłumaczył jak wielkim kosztem postanowiono piec w moim pokoju przerobić na zimę. Słuchałem w roztargnieniu i nawet nie podziękowałem za ten objaw dobroci gospodarza. Wyszedłem w roztargnieniu...

Usta moje palił pocałunek dziewczęcia...

Rzuciłem się na łóżko i marzyłem rozkosznie...

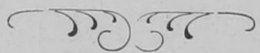
Na drugi dzień Władzi w oknie nie widziałem.

Po kilku tygodniach, przez czas których nie śmiałem zniecka zaglądać do okienka, dowiedziałem się, że Władzia wyszła dobrze za męża i wyjechała.

Teraz po kilku latach niewidzenia spotykam moją Władzię, kiedy idzie pod rękę z mężem, bogatym korzennikiem, i prowadzi za rękę małego bębna...

Dreszcz jakiś przebiega me członki, a ona widząc mnie, widać przypomina coś sobie, bo spuszcza główkę i rumieni się nieco.

Mijając ich, rozmyślałam, czy to nie był najserdeczniejszy pocałunek w mem życiu — od pięknej dziewczyny?



## Z blizka i daleka.



**Jubileusz odrodziciela Szlązka.** W r. z. minęło lat 25 od chwili, w której wydawca i redaktor „Katolika“ bytomskiego i były poseł, Adam Napieralski, przybył na Szlązka pruski i rozpoczął tam pracę, która miała wydać pożyteczne owoce dla polskośći. Zasługi jego około odrodzenia narodowego tej dzielnicy są znane; odzyskanie miljonowej tamtejszej ludności polskiej dla sprawy narodowej w niemałej mierze jego jest dziełem. Aby uczcić teraz jubileusz działalności Adama Napieralskiego, grono polskich księży górnośląskich, z posłem ks. Brandysem na czele, wydało odezwę, wzywającą do składek na fundusz pomocy naukowej dla polskiej młodzieży szląskiej imienia jubilata.

**Trzęsienie ziemi.** Nadzwyczaj rzadkie trzęsienie ziemi uważano w tych dniach w obserwatorium

astronomicznem w Pulkowie. Trzęsienie ziemi dało się zauważyć w całym szeregu wsi w gub. archangielskiej, gdzie właścianie odczuwali kolejne uderzenia podziemne, którym towarzyszył huk wstrząsający.

Trzęsienia ziemi na północy Rosji, jak wyjaśnia obserwatorium pulkowskie, są wielką rzadkością, jednakże w gub. archangielskiej powtarzają się co pewien czas.

Ostatnie trzęsienie ziemi notowano przed 2–3 laty. Dotychczas trzęsienia ziemi w tej gubernji nie wywołały żadnych katastrof.

**Pogrzeb Róży Sarto.** W wiosce rodzinnej Ojca świętego, Riese, pochowano zwłoki zmarłej dnia 11 lutego roku ubiegłego siostry papieża, Róży Sarto. Życzeniem papieża było, aby siostra jego spoczywała na ementarzu, na którym leżą już jego rodzice. Życzeniu temu stało się dopiero teraz zadość, gdyż dotychczas nie była jeszcze ukończona kaplica, w której mają być chowane zwłoki rodziny Sarto. Ciało przewieziono z Rzymu do stacji kolejowej w Castelfranco przy asyście proboszcza z Riese, księdza Setina i dyrektora pałaców apostolskich, Palazziego. Na dworcu w Castelfranco oczekiwały na przybycie trumny z szczątkami siostry papieża olbrzymie tłumy oraz przedstawiciele różnych gmin i deputacje różnych towarzystw, jak również i wielu krewnych papieża. Na razie ustawiono trumnę w jednej z sal na dworcu, zamienionej na kaplicę, przystrojonej kwiatami i wieńcami, poczem, po odprawieniu modłów, udał się kondukt żałobny do pobliskiej wioski Riesa, położonej zaledwie o 6 kilometrów od stacji. Kondukt żałobny ciągnął się na przestrzeni jednego kilometra. Ojciec św. prosił, aby nie składano żadnych wieńców lub kwiatów. Obrzędy kościelne odprawił, prócz patriarchy weneckiego, ks. Cavallarięgo, biskup Longhin z Dreviso, oraz specjalny sekretarz papieża, ks. Bresson. Kaplica, wystawiona kosztem Ojca św., jest nadzwyczaj skromna.

**Odgadywacz myśli.** Pomędzy wiedeńskim klubem fotograficznym, a odgadywaczem myśli, Eugenjuszem de Rubinem, stanął w tych dniach ciekawy zakład. Rubini miał w ciągu dwu godzin rozwiązać następujące zadanie, ułożone oczywiście bez jego wiedzy przez członków klubu: Przedewszystkiem miał odgadywacz myśli wynaleźć wśród kilkudziesięciu samochodów ten samojazd, który przeznaczono dla niego. Samochód kierowany był przez pewną damę. Oprócz niej siedział w nim inżynier, któremu znana była druga część zadania. Rubini połączył się z nim krótką pałeczką metalową. Odgadywacz myśli miał zatrzymać samochód przed sklepem ogrodniczym na jednej z ulic Wiednia, wstąpić tam i zabrać wieniec wawrzynowy. Następnie, po zmianie kierownika samochodu, miał pojechać do pewnej willi, wejść tam, zabrać klucz i udać się z nim do ogrodu. W ogrodzie otworzyć owym kluczem szopę i wynieść z niej biust Franciszka Józefa. Dokonawszy tego, miał

udać się do najbardziej oddalonego pokoju willi, zabrać tam stąd dziewczynkę, w jej obecności ustawić w ogrodzie biust cesarza na podstawie i uwieńczyć wziętym od ogrodnika wieńcem wawrzynowym. Rubiniemu dano dwie godziny dla rozwiązania tego powikłanego zadania. Tymczasem odgadywacz myśli rozwiązał je w pół godziny. Procesja samochodów, do wozu bowiem, w którym siedział Rubini, przyłączyło się 20 automobili członków klubu, wywołała na ulicach Wiednia wielkie zaciekawienie i, ma się rozumieć, jest już odtworzona przez aparaty kinematograficzne.



## ZE SCENY.

**Teatr Mały: Prokurator Hallers, sztuka Pawła Lindaua.** Mówionem przedstawieniem kinematograficznym lub bruleską patologiczną nazwałbym ostanią premierę w teatrze Małym, która dzięki gościnnym występom Kazimierza Kamińskiego stała się sprawą aktualną wiosennego sezonu. Uchylając czoła przed jego doskonałą, w szczegółach świetnie opracowaną grą sceniczną, wyrażam zdziwienie, że wielki artysta w bogatym repertuarze własnym czy obcym nie znalazł rzeczy odpowiedniejszej, z zadaniem sceny lepiej harmonizującej.

Bo sztuka Lindaua jest wszystkim innym niż poważnie i szczerze pojętym dramatem. Jestto raczej sensacja patologiczna, która by szarpała nerwy może bardziej jeszcze na ekranie i w całej pełni osiągnęła skutek widowiska, obliczonego na gusta i uczucia nie wybredne. Nowe wydanie Sherlocka Holmsa.

Samo założenie sztuki, o ile graną ma być w poważnie pojmującym swe zadanie teatrze, jest chybione. W utworze scenicznym walczy bohater z sobą i otoczeniem. Odnosi zwycięstwo lub ginie. Albo występują ludzie, o sprzecznych poglądach i charakterach i tworzą w skrócie konflikt, jaki codziennie spotyka się w życiu. Wreszcie może być sztuka także odtworzeniem epizodu z bytu ludzi zwykłych, albo wyrastających ponad przeciętność ogółu, bez zamiaru głoszenia triumfu cnoty lub zwycięstwa złych namiętności. W każdym razie widz musi czuć razem z bohaterem, ganić go lub pochwalać, cieszyć się z nim lub smucić, żałować go i brać z niego wskazówki. Wreszcie powinna scena dać ukojenie w chwilach rozterki, pocieszać i oczyszczać, podnosić i — ostatecznie bawić.

Zadnego z tych uczuć czy wrażeń nie zabieramy z sobą do domu po bytności na sztuce Lindaua. Stworzył on bohatera jako człowieka bez woli, męczennika choroby. Całe jego otoczenie jest obojętne; cierpiałby zarówno w każdym innym środowisku. I gdyby nie sensacyjny pomysł dziwnej choroby umysłowej bohatera, gdyby nie zaczerpana z tajników patologii i mistyki idea dwoistości człowieka — widz szybko czułby się znużonym i z niesmakiem opuściłby teatr, który go zajmuje męczącymi zagadkami.

Prokurator Hallers od dwu tygodni skutkiem dawnego upadku na głowę jest istotą rozdwojoną: za dnia pełni sumienie obowiązków swego zawodu, wieczorem pod wpływem muzyki, mającej go ukoić, popada w trans i przedzierzga się w bandytę. Zarzuca bluzę, owija szyję chustką, naciska czapkę i biegnie do szynku pod „Kulawą kaczką“, aby w towarzystwie złodzieji i przestępców spędzić część nocy. Pije na umór i całuje brutalnie „czerwoną“ Różę, przewodzi w kradzieżach i napadach — poczem wraca do domu, zasypia na godzinę lub dwie i budzi się znów jako prokurator Hallers. To podwójne życie niszczy oczywiście jego organizm; ślepnie czasami, miewa halucynacje, jest w najwyższym stopniu zdenerwowany, podlega napadom nieuzasadnionego gniewu i przesładuje swoje otoczenie. Przy tem wszystkim niema najmniejszej świadomości o swym podwójnym byciu — nie jest więc postacią

tragiczną w pojęciu scenicznym, lecz chorą, nadającą się wyłącznie do zakładu lub lecznicy.

„Książę“ bandytów postanawia pewnego wieczoru dokonać napadu na własny dom, na mieszkanie prokuratora Hallersa. Policja, którą jako stróż prawa wysłał na własny trop, chwytła dwu złodzieji; trzeci jest ten drugi człowiek w prokuratorze, który tymczasem ocknął się do normalnego życia. Autor sztuki raz jeszcze każe swemu nieszczęsnemu bohaterowi przeistoczyć się w bandytę, tym razem w oczach przyjaciół. Przy ich pomocy, po ogromnym wysiłku, uprzytomnia sobie wreszcie swój stan straszny — który, jak nam każe wierzyć Lindau, wyleczyć może jedynym w tym wypadku lekarstwem — silną wolą. Nad złamanym nieszczęściem swym człowiekiem, w którym mało jest wiary i woli, a raczej przecucie celi warjatów, zapada kurtyna. W sztuce nie brak i innych sensacji. Całe zbiegowisko złodzieji i ich kobiet w szynku piwnicznym, komisarz z brodą przyprawioną pod ładą, próba rzucania mu przez „księcia“ w brzuch nożem, postać „czerwonej“ Róży, widzenia w płomieniach kominka, pastwienie się prokuratora nad służącym i współnikiem napadu — to wszystko kręci się w brutalnych, jaskrawych tonach dokoła głównej postaci chorego człowieka. Zwolennik grubych wrażeń i właściciel stepionych na sensacjach nerwach wychodzi na swoim.

Że Kamiński ciężką swą, podwójną rolę grał po mistrzowsku, mówiłem na wstępie. Stworzył dwie w każdym odruchu, w tonacji głosu, w sposobie mówienia, patrzenia i ogólnym wyrazie, na wskroś odrębne istoty. Oklaskiwano jego wielki talent, nie sztukę. Zespół artystów nie szczędził wysiłków, aby grze wielkiego kolegi dać tło odpowiednie.

Arkawinówna jako „czerwona“ Róża, Herburtówna i Rostkowska jako przyzwoite panny, Kuncewicz w roli przyjaciela adwokata, Pawłowski jako lekarz, Ceremużyński jako przebiegły i tchórzliwy szynkarz — wszyscy tworzyli szereg trafnie pojętych postaci. Wymienić jeszcze należy Ryszkowskiego, Świeściaka i Ratowskiego. Inscenizacja i reżyserja były beznaganne.

Mimo to trudno oprzeć się w końcu westchnieniu: szkoda tak wybitnego talentu jak Kamiński, szkoda tej wielkiej pracy i tylu starań z strony teatru Małego dla takiej sztuki!

T. J.

## PIELGRZYMKA DO LOURDES.

W czasie między 22 a 26 lipca b. r. odbędzie się w słynnym z objawień N. M. Panny mieście francuskim Lourdes tegoroczny kongres eucharystyczny. W Poznaniu organizuje się wycieczka, która ma trwać od 15 lipca do 1 sierpnia.

Koszty z Poznania do Lourdes przez: Berlin, Kolonję, Paryż, Bordeaux i Bayonne (nad Antlantykami) oraz z powrotem przez Tuluzę, Cette (nad Morzem Śródziemnym), Avignon (pałac papieży), Lyon, Solurę (nagrobek Kościuszki), Genewę, Einsiedeln, Zurych (wycieczka parowcem do Rapparswylu), Stuttgart, Erfurt i Halle do Poznania wyniosą włącznie z wydatkami na kartę kongresową, kartę legitymacyjną, oznaki, druki itp. III kl. 175 mk. (rb. 85), II kl. 275 mk. (rb. 130). Na utrzymanie wraz z pomieszkaniem w Lourdes i noclegami w drodze na cały czas, tj. przez 17 dni, należy liczyć 125 — 165 mk. (rb. 60—80), tak że cała podróż z wszystkim będzie kosztowała III kl. około 300 mk. (rb. 140), II kl. 400—450 mk. (rb. 190—220).

Wyjazd z Poznania prawdopodobnie wieczorem 15 lipca; w drodze do Lourdes zwiedzenie Kolonji i Paryża (przez 2—3 dni); w drodze powrotnej zwiedzenie Lyonu i okolicy Zurychu. Do Poznania wróci pielgrzymka 1 sierpnia.

Przy zgłoszeniu, które trzeba wykonać jaknajwcześniej, dołączyć należy wpłatę 40 mk. (rb. 20) z dopiskiem „Pielgrzymka do Lourdes“.

Dla uczestników z Królestwa Polskiego i Rosji dochożą jeszcze koszty paszportu oraz podróży do Poznania.

Adresować należy wszelkie listy: X. Marjan Poprawski, Poznań, ul. Seminarjna № 2.

## JUBILEUSZ PRACY.

Dwudziestopięciolecie czynnego w prasie polskiej pióra obchodził popularny w Warszawie poeta i satyryk Antoni Orłowski, znany ogólnie pod pseudonimem Krogulca. Słynne zwłaszcza były jego listy Połusztannikowa, drukowane w *Musze*, a rozrywane przez publiczność polską.

Obchód serdeczny zgotowali mu przyjaciele i współpra-

cownicy w lokalach Tow. literatów i dziennikarzy, gdzie przywitał jubilata następujący wierszyk kolegi:

Jubilacie  
Tutaj macie  
Co jest w chacie!  
Tort, pomadki,  
Czekoladki,  
Win zbiór rzadki.  
Muchy ława  
Też coś dawa,  
To podstawa.  
Od redakcji  
W satysfakcji  
Twojej akcji,  
Z łzą na rzesie,  
Co się trzęcie:  
Pióro gęsie.  
Od Warszawy,  
Dla naprawy  
Bytu nawy,  
W hojnym danku,  
Czek do banku,  
Weź kochanku.  
Koniec mówki!  
Nadstaw główki,  
Z dubeltówki.

Pełen nastroju wieczór wypełniały przemówienia, toasty i popisy muzyczne. Nie brak było i licznych telegramów z serdecznym pozdrowieniem Henryka Sienkiewicza na czele.

I z naszej strony przesyłamy dzielnemu pisarzowi i utalentowanemu koledze najlepsze życzenia dalszej, owocnej pracy!

RED.

### NEKROLOGJA.

Ś. p. Józef Chodakowski, śpiewak sceniczny, artysta i reżyser opery warszawskiej, profesor konserwatorium, zmarł w Warszawie dnia 1 maja. Odtworzył on szereg wspaniałych postaci w operach polskich i przyczynił się do wystawienia kilku pięknych utworów swojskich.

Ś. p. Paulina z Sobańskich Jełowicka, matrona polska wielkiego serca i czystego charakteru, zmarła w Warszawie w 91 roku bogobojnego życia.

### Zadanie literowe.

a	a	e	e	f	i
i	i	k	k	k	n
ń	p	r	r	s	sz

Z powyższych liter ułożyć odpowiedź na następujące pytanie:

„Który to poeta dał nam pieśni wiele,  
Śpiewają je dotąd w domu i kościele“.

### Rozwiązania szarady z nr. 17 „Ziarna”

F A R A O N

nadesłali: K. Rusiniak, J. Lalas, J. Drażkiewicz, T. Dymitrowicz, Wł. Wendorff, M. Piekarski, P. Karszo-Chmielewski z Warszawy.—L. Roszkowska z Słucka, A. Kucewicz z Tuczyna, J. Sobociński z Słupna, A. Koczerginówna z Dietrznik, W. Paszkowski z Góry Kalwarji, J. Kornatowski z Grodziska, W. Wiatrowski z Warty, E. Orgański z Częstochowy, L. Sębert z Lyszkowic, Edward Szwarz z Dziepołci, M. Sławicka z Moskwy.

Z losowania wypadły nagrody dla P. Karszo-Chmielewskiego z Warszawy i M. Sławickiej z Moskwy.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO” wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna” w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

## Królowie polscy,

Obraz rysunku J. Matejki, kolorowany przez M. Gerson-Dąbrowską, wykonany litograficznie w 18 kolorach, wyszedł w nowym nakładzie księgarni Jana Fiszera. Portety 40 królów polskich ułożone są na tle godeł narodowych i herbów Polski, Litwy i Rusi. Rozmiary dużego kartonu 74×100 cm. Piękna i barwna litografia oraz przedewszystkiem wzniosły temat i praca najświetniejszego malarza polskiego zalecają wspaniałe to wydawnictwo. Obraz, stanowiący prawdziwą i cenną pamiątkę narodową, winien znajdować się w każdym domu polskim.

Dzięki pomyślnemu układowi z firmą księgarską Jana Fiszera możemy Czytelnikom „Ziarna” ustąpić obraz ten po cenach niższych i to na grubym papierze kartonowym po 2 rb. (zamiast 3 rb.); a podklejony płótnem na wałkach po 3,50 rb. (zamiast 5 rb.). Koszty przesyłki pierwszego obrazu wynoszą 50 kop., drugiego 85 kopiejek.

Zamówienia i przekazy adresować należy do Administracji „Ziarna” z nadmienieniem, że wysłaną sumą (2,50 rb. lub 4,35) przeznaczoną jest na dostarczenie obrazu „Krółów Polskich”.

Zachęcamy raz jeszcze naszych Czytelników do skorzystania z rzadkiej sposobności nabycia dla domu swego pięknej i patriotycznej ozdoby.

### Od Administracji.

Do numeru niniejszego (19) „Ziarna” załączamy dla prenumeratorów, którzy opłacili kwartał II, ilustrowaną książkę „LATAWCE” oraz arkusz mód wiosennych.

### Odpowiedzi Redakcji.

WP. J. Korn. w Grodz. Obraz można zawiesić bez obawy w każdym mieszkaniu prywatnym.

WPani N. L. w Nowosiolkach. Komplet od № 1 wysyłany już był WPani dwa razy. Obecnie wysyłamy go po raz trzeci w opasce polecanej. „Album świątyni narodowej” wysyłamy z większą ilością rycin po wykończeniu druku barwnego, który zabiera dużo czasu. Ryciny będą wysłane w okładce, aby nie uległy zgniecieniu. Do końca r. b. otrzyma WPani wszelkie zapowiedziane w prospekcie dodatki.

WP J. Lip. w Kij. Wiersze dla usterek w rytmie do druku się nie nadają. Prosimy o inne próby.

### TREŚĆ N-ru 19.

Marcin Bielski. — Wśród wyznawców Mahometa. — Henryk Rzewuski: Zamek krakowski, romans histor. z w. XVI (c. d.). — Cztery pory: I Poranek, wiersz Tadeusza Jaworskiego. — Pamiętniki Heidensteina. — Kronika polityczna. — Pocałunek, nowelka Wł. Karolięgo. — Z blizka i daleka. — Ze sceny. — Pielgrzymka do Lourdes. — Jubileusz pracy. — Nekrologja. — Zagadka i rozwiązanie. — Od Administracji. — Odpowiedzi Redakcji.

Ilustracje. Marcin Bielski. — Derwisze w Skutari. — Cmentarz muzułmański w Skutari. — Chodza (kapłan) w Skutari. — Iman wyjeów skutarskich. — Widok Skutari. — C. Dyleczyński: St. Batory i Heidenstein spisujący historję króla. — Święto wiosny. — Amerykańska straż wojenna na granicy Meksyku. — Prezydent Meksyku Huerta. — Villa, z bandyty «jenerał». — Wieża Eiffla w 25 rocznicę.